



BOLESŁAW PRUS
ZEMSTA

Bolesław Prus

Zemsta



Fundacja FESTINA LENTE

Paryż. Podziemna kawiarnia, złożona z kilku sal, z których jedna zwie się indyjską. Jest to izba prostokątna, niby wykuta w skale. Sufit płaski, ozdobiony bogatymi rzeźbami roślin, poplątanych w sieć gęstą. Na środku sali, między dwoma wodotryskami, stoi spiżowy posąg Buddy, wielkości naturalnej. Izbę ze wszystkich stron otaczają kolumny pękate, od podłogi do sufitu okryte rzeźbami. Między kolumnami gabinety, między rzeźbionymi liśćmi i kwiatami lampki elektryczne. Sala robi wrażenie ciasnej, choć jest obszerna i dzięki wentylatorom doskonale przewiewana.

W jednym z gabinetów, które od sąsiednich oddzielają gęste, złożone kraty w formie gałązek bluszczu, na taboretach podobnych do kolumn i przy takichże stoliczkach siedzi trzech mężczyzn, Polaków. Łysawy szatyn, z ciemną brodą i senną twarzą, ma przed sobą talerz sorbetów. Wysoki brunet, z fizjognomią drapieżnego ptaka, pije kawę, wreszcie niski blondyn, z energicznymi ruchami i oczyma stalowej barwy, miesza łyżeczką lemoniadę, której nie pije.

— A zatem jeszcze nie obmyśliliście niczego? — pyta niecierpliwie blondyn, Władysław Miler.

— Owszem — odpowiada Zygmunt Goldberg z twarzą drapieżną. — Dostarcz pieniędzy, ale dużo pieniędzy, i organizację z ludzi gotowych na wszystko, a przede wszystkim na śmierć, a ja podam ci taki plan, którym będziesz zachwycony.

— Chciałbym go jednak usłyszeć, jeżeli nie starasz się o patent wynalazku — odrzekł Władysław.

— Plan nietrudny do pojęcia — mówił Zygmunt Goldberg, a w jego okrągłych oczach co chwilę zapalały się iskry. — Za jedno uderzenie — dziesięć uderzeń, za jedną ruinę — dziesięć ruin, za jedną śmierć — dziesięć śmierci...

— Takie rzeczy łatwiej proponować aniżeli wykonać — wtrącił Miler.

— Nie możesz osiągnąć Johana, wal Fryca... nie dasz rady mocniejszemu — bij słabych... dzieci... kobiety...

— Ależ to jest podłość!...

— Za jedną ich podłość oddaj dziesięć podłości — ciągnął Goldberg. — Kiedy pantera musi walczyć ze słoniem, nie wchodzi mu pod nogi, ale go chwytą za trąbę... Nie dasz im rady w Poznaniu, idź do Berlina; wypędzą cię z Europy, szukaj ich w Ameryce, Azji, Australii... Za wywłaszczony folwark — niszczyć koleje, składy, kamienice, okręty, mosty... Nie masz bagnetów i armat, weź nóż, dynamit, arszenik, wreszcie bakterie cholery i dżumy... A dopiero kiedy całe Niemcy krzykną z bólu, rząd ich zrozumie, że w dwudziestym wieku nawet słabszego nie wolno krzywdzić, bo on w

chemii, w bakteriologii znajdzie środki odwetu. Taki jest mój plan.

— Do wykonania takiego planu nie znajdziesz u nas ludzi.

— Boście durnie! Z łajdakami nie prowadzi się walki uczciwej, tylko łajdacką, gdyż oni innej nie ulęką się, a szlachetności nie rozumieją.

— Do mnie tego nie mów — odpowiedział Miler — bo ja już jestem zdecydowany na wszystko. Ale ponieważ mam tylko ludzkie siły i tylko jedno życie...

— Dlatego — ciągnął Goldberg — mówiłem o potrzebie organizacji... Przypuśćmy, że jeden człowiek wysadzi most albo spali kamienicę... Zastrzelą go, czy zetną... Wtedy przyjedzie drugi. Zniszczy kolej albo skład, zginie i ustąpi miejsca trzeciemu... A tymczasem w Niemczech zrobi się ruch, sejmiki. Obudzi się zmysł krytyczny i — szacunek dla etyki: nie czyń innym, czego nie chcesz, aby tobie czynili... Czy to nie piękny cel: umoralnić dzisiejszych Niemców?...

— A ty, Janie, co myślisz? — zwrócił się Miler do spokojnego szatyna, Czerskiego.

— Myślę, że projekt Zygmunta jest i nieuczciwy, i niedorzeczny. Było dwu chłopów, a każdy miał pełną stodołę niemłóconego żyta. Jeden wymłócił swoje żyto, część ziarna zmełł, część wysiał, a słomę sprzedał; ten zrobił wygodę innym ludziom i sobie. Ale drugi chłop użył swoich snopów na podpalanie cudzych stodół; więc zmarnował własne żyto, zmarnował dostatki publiczne, sam poszedł do kryminału, a dla siebie,

dzieci i rodziny zdobył nazwę łajdaków, podpalaczy...
Oto odpowiedź na projekty Zygmunta...

— A jednak bez odwetu... bez zemsty... takiej zbrodni jak wywłaszczenie Prusakom darować nie można! — rzekł Miler, bijąc pięścią w stół.

— Narody nie po to żyją, aby się mścić, ale ażeby rozwijać się i spełniać jakąś misję cywilizacyjną — odpowiedział Jan.

— Jakże ją spełnisz, człowieku, jeżeli cię odzierają, ogłupiają i upadlają? — zapytał Władysław. — A co to jest, wydrzeć ziemię narodowi! — Przecież to zagłada...

— Zaraz... zaraz... nie tak prędko! — przerwał Czerski. — Już z ekonomii wiemy, że na dobrobyt i cywilizację składają się cztery czynniki. Po pierwsze — natura, czyli ziemię orną, lasy, wody, kopalnie... Po wtóre — praca energiczna, która owe pola uprawia i eksploatuje kopalnie. Po trzecie — rozum wynalazczy, który nie tylko odkrywa tajemnice natury, ale jeszcze umie wynajdować i budować potrzebne narzędzia. I po czwarte, na co ekonomia nie kładzie nacisku, a co jest równie ważne — cnota...

— Która polega na tym, ażeby gdy dadzą ci policzek z jednej strony, nadstawić drugą — wtrącił Goldberg.

— To jest cnota nadzwyczajna, ja zaś mówię o zwyczajnych, do których należy: wytrwałość, oszczędność, rzetelność, sprawiedliwość — odpowiedział Czerski.

— Tchórzostwo — mruknął Zygmunt.

— Odwaga, panie — mówił Czerski — odwaga, która, jeżeli potrzeba, nie lęka się niczego: ognia ani wody, piekła ani śmierci. Odwaga, która potrafi o wszystkim myśleć, wszystko krytykować, wszystko zamierzyć i wszystko wykonać...

— Nie słyszę tu odpowiedzi na moją troskę — odezwał się Miler.

— W tej chwili będzie odpowiedź — powiedział Czerski. — Otóż, jeżeli Prusacy zabierają Polakom ziemię, czyli jeden z czynników dobrobytu, Polacy muszą spotęgować trzy inne czynniki, a więc energiczną pracę, wiedzę twórczą i cnoty. A wówczas nie tylko nie zginą, ale jeszcze podniosą się na wyższy stopień cywilizacji...

Goldberg spojrział na zegarek.

— Darujcie — rzekł — wyrabiam swemu kuzynowi posadę w banku lugduńskim i za kwadrans muszę się z kimś zobaczyć. Nie obrazisz się, Janie?

— Ja także uciekam — odpowiedział Czerski. — O dziesiątej będę na zebraniu, w którym jog Ahamkara...

— Aha... ten szarlatan indyjski! — wtrącił Zygmunt.

— Jak go zobaczę, powiem ci, czy jest szarlatanem — odparł Jan. — A tymczasem słyszę, że człowiek ten czyta w cudzych myślach, widzi przez ściany, opowiada przeszłość i przyszłość. Mówią też o nim, że potrafi unosić się w powietrzu, znikać albo ukazywać się w miejscu zamkniętym...

— Słowem: istny diabeł! — roześmiał się Zygmunt.

— O gdyby nim był! — zawołał Władysław Miler, podnosząc ręce do góry. — Sprzedałbym mu duszę w zamian za jego potęgę, a wtedy... pogadalibyśmy z Prusakami...

— Może o pracy, mądrości i cnotach? — zapytał Goldberg szyderczo.

Władysław zamyślił się.

— Czy ja wiem? — rzekł. — A może i o twoich projektach: dynamicie, cholerze, dżumie...

— Człowieku, więc za to szatanowi oddałbyś duszę? — zawołał Czerski.

— Uspokój się, stary — wtrącił Zygmunt. — Władek jest tak dobrym politykiem, że oddaje tylko to, czego nie posiada takiemu, który nie istnieje.

Ponieważ dwaj panowie podnieśli się ze swych słupków, Miler rzekł głosem jęklwym:

— Więc opuszczacie mnie?

— Posiedź tu, przeczytaj gazety, a za jakieś pół godziny zaczną schodzić się inni — rzekł Jan. — Może, od którego usłyszysz lepszy projekt...

— O pielęgnowaniu cnoty — mruknął Goldberg, uchylając kapelusza na pożegnanie.

Miler został sam w półotwartym gabinecie. Wziął do ręki „Matina”, ale wnet odłożył go, czując, że niewiele rozumie zapewne skutkiem zmęczenia podróżą. Teraz dopiero zastanowił go ponury wygląd sali, ciche rozmowy gości i służba odziana na białą, w turbanach, przesuwająca się jak cienie. Rozmowa z Zygmuntem i Janem nie zadowoliła go. Przyjechał tu,

ażebym obmyślić jakiś praktyczny plan działania przeciw Prusakom, a zaraz na pierwszym kroku trafił na teorie, z których jedna, zalecająca mądrość i cnotę, wydawała mu się nadludzką, a druga niegodziwą, choć imponującą, groźną, ale niewykonalną...

„Przypuśćmy — myślał — że wszyscy Prusacy zasługują na zrujnowanie ich i wytepienie, to skądże wziąć ludzi, skąd pieniędzy potrzebnych do tej ohydnej roboty? Zresztą, może w Europie nie byłoby trudno o znalezienie zbrodniarzy gotowych niszczyć wszystko i zabijać nawet niewinnych”.

W tej chwili od zakratowanego okna z prawej strony coś jakby powiało: chłód czy bardzo słaby prąd elektryczny. Spojrzał przez gęstą siatkę i spostrzegł niewyraźną postać ludzką.

„Piękne to były czasy — myślał — te z bajek czasy, kiedy człowiek mógł diabłu oddać duszę, a w zamian otrzymać nieprzebrane skarby, długotrwałą młodość... dywan- samolot... czapkę niewidkę... kij samobij, nie licząc potężnych, a posłusznych na każde wezwanie demonów... Oj, przydałyby się dzisiaj czapki niewidki i kije, a nawet miecze samobije!...”

Do gabinetu wszedł biało ubrany służący i położył na stoliku bilet.

— Ten pan siedzi obok — rzekł, wskazując na okno z prawej strony.

Miler spojrział na bilet i przeczytał: „Iswar Ahamkara”.

„Ahamkara? — powtórzył w myśli, usiłując przypomnieć sobie. — Ależ to chyba ów czarodziej, o którym wspomniał Jan...”

Ogarnął go podziw, a zarazem nieprzeparta chęć zobaczenia cudotwórcy. Więc choć zaprosiny były oryginalne, Władysław podniósł się i po krótkim wahaniu, wszedł do sąsiedniego gabinetu. Siedział tam człowiek po aktorsku wygolony, z wąskimi ustami, wydatną brodą, z czołem bardzo wysokim i wypukłym. Jego oczy zdawały się posiadać jakąś niezwykłą potęgę; nie trwożyła ona, była spokojna, ale czuć, że opierać się jej niepodobna, jak niepodobna powstrzymać piersiami zwolna sunącej lokomotywy.

— Słyszałem rozmowę panów — odezwał się po francusku Ahamkara, wskazując Władysławowi taboret.

— Pan zna język polski? — zapytał Miler.

— Znam język silnych pragnień. Myli się pan jednak, sądząc, że duszę można sprzedać. Ją można tylko zastawić, nawet na dłuższy czas, no — i na warunkach odpowiadających pragnieniom zastawiającego.

Ahamkara wziął do ust wężowaty cybuch nargili i pociągnął kilka razy.

W gabinecie rozszedł się niebieskawy dymek mdłego zapachu.

— Rad by pan dokonać wielkiej zemsty i dla niej zastawić swoją duszę. Rozumiem to i mogę dopomóc — mówił Hindus. — A zapewne byłby pan ciekawy warunków?

Władysław chciał coś odpowiedzieć, ale wyrazy ugrzęzły mu w gardle i zamieniły się w rodzaj cichego łkania.

— Wyobraź pan sobie — ciągnął Ahamkara — że jesteś właścicielem — na przykład — drzewa owocowego, które — dajmy na to — przynosi panu rocznie franka. Pan wydzierżawiasz mi to drzewo — przypuśćmy — na sto miliardów lat i żądasz, abym wypłacił ci sumę dzierżawną: sto miliardów franków w ciągu dwudziestu lat. Ja godzę się, biorę drzewo na sto miliardów lat, a panu dostarczam pięciu miliardów franków rocznie w postaci: gotowych pieniędzy, ziemi, służby, rozmaitych machin i materiałów, a nareszcie, co bodajże jest najważniejsze, w postaci rozmaitych porad i pomocy...

— O jakim drzewie?... — wtrącił Miler zduszonym głosem.

— Tym drzewem jest dusza pańska, z której dochód oceniam symbolicznie na franka, lecz która, w moich rękach, może być sto razy, nawet tysiąc razy więcej warta. Ale to już należy do mnie.

— Pięć miliardów franków rocznie? — szepnął Władysław.

— To tylko symbol — przerwał Indus. — Nie kładźmy nacisku na wyrazy. Słowem: daję panu, na dwadzieścia lat potęgę, jakiej nie posiada żaden król, żadne państwo, potęgę, za pomocą której można wyrządzać całym narodom okropne krzywdy... A pan za to, na sto miliardów lat (a więc nie na całą wieczność,

zaledwie na początek wieczności), oddajesz mi władzę nad swoją duszą. Czy zgoda?

— A... czy będę mógł robić dobrze?...

— Tylko jednostkom i tylko takim, które do zemsty będą pomagały. Przeciwników, a nawet obojętnych, może spotkać z pańskiej ręki tylko nieszczęście — odpowiedział Ahamkara.

Hindus znowu kilka razy pociągnął nargilę i mdły dym wypełnił gabinet. Milerowi głowa zaczęła ciężać; oparł ją na rękę i myślał... myślał... Nagle spojrzał na Hindusa i rzekł stanowczym tonem:

— Zgadzam się!... Zgadzam się!...

Ahamkara wydobyła pod kamizelki złoty medalion i przycisnęła go Władysławowi do czoła. Milerowi zdało się, że ujrzał niezmierną błyskawicę, potem straszną noc... Lecz po chwili odzyskał przytomność.

— Już należysz do mnie — mówił Hindus — na miliard wieków. Na dwadzieścia lat jednak daję ci władzę i wolność szkodzenia ludziom i narodom, w jakich zechcesz granicach. A teraz wypełnię jeden obowiązek i pokażę ci przyszłość.

— Czy tę, jaką ja wywołam? — zapytał Miler, już zupełnie spokojny.

— Nie. Taką, jaka byłaby, gdybyś ty nie wmieszał się do dziejów świata.

— I nic w niej nie można będzie zmienić?...

— Owszem. Właśnie w tym celu zobaczysz ją, ażebyś wiedział, co dla twoich zamiarów potrzeba zmienić. Ale zmienić tylko na gorsze!...

— A teraz... — dodał, wydostając z bocznej kieszeni kolisty przedmiot — a teraz popatrz w to lusterko...

Gdy Ahamkara, przymrużywszy oczy, ciągnął dym nargili, Władysław oparł na stole zwierciadełko i z uwagą zaczął się wpatrywać. Z początku widział odbite ściany gabinetu i lampki elektryczne; powoli jednak obraz zamglił się i zniknął, a jego miejsce zajęły wizerunki nieznanymi miejsc i osób, jakieś dramaty... Milerowi zdawało się, że patrzy na kinematograf nowego rodzaju i że ktoś, stojący za nim, czy może w nim samym, udziela mu cichym głosem objaśnień.

...Piwiarnia w małym miasteczku poznańskim, wypełniona rolnikami, rzemieślnikami, handlarzami... Wszystko rodowici Prusacy, których sprowadzono na ziemię polskie. Ludzie ci, po całych dniach, bawią się, jedzą, piją, rozmawiają i śpiewają. Od kilku już lat cieszą się, że ziemia przechodzi z rąk przeklętych Polaków w posiadanie rzeczywistych pruskich patriotów. Wznoszą toasty za pamięć Bismarcka i Bülowa, i śpiewają ogromnymi głosami, że ojczyzna niemiecka może być spokojna, ponieważ nie tylko nad Renem, ale i nad Wartą czuwa straż nieusypiająca.

Lieb' Vaterland, magst ruhig sein!...

Niekiedy w piwiarni ukazuje się pruski urzędnik (typ dotychczas nieznanymi w państwach), którego obowiązkiem jest czuwać nad sprawowaniem się, a nade wszystko nad patriotyzmem kolonistów. Urzędnik

ów przypomina bawiącym się, że zbyt długo przesiadują w knajpach, trwoniąc czas i pieniądze, zamiast pracować. Ale biesiadnicy odpowiadają mu, że oni nie przyjechali tu do pracy, ale do strzeżenia honoru i bezpieczeństwa Niemiec. Robota należy do polskiego bydła, które dzięki pruskiemu dozorowi i naukom, wcale niezgorzej wypełnia obowiązki. Potem zapraszają urzędnika na „bombę”, którą on przyjmuje łaskawie, wśród okrzyków: hoch!... i hura!...

...Polaków w Poznańskim coraz mniej, pruscy koloniści uczują coraz gorliwiej, już nie tylko w piwiarniach, ale we własnych domach i na ulicach. A tymczasem pola, niedbale uprawiane, źle rodzą, ogrody dziczeją, sklepy i warsztaty po całych dniach zamknięte; ciągle bowiem zdarza się jakaś patriotyczna uroczystość, którą trzeba święcić pijatyką i próżniactwem.

Podatków w Poznańskim prawie nikt już nie płaci, owszem: zarząd miejscowy domaga się od państwa coraz nowych zasiłków na szosy, szkoły, szpitale, pokrycie szkód ogniowych, odszkodowanie za nieurodzaj itd. Gdyby nie dziesiątki i setki milionów marek co rok dokładanych przez skarb państwa, głód chroniczny panowałby w Ostmarchii, gdzie już od wielu lat w zastraszający sposób zwiększyła się śmiertelność, zbrodniczość i liczba obłąkań.

...W rozmaitych punktach cesarstwa niemieckiego wybuchły rozruchy proletariatu, który dopomina się o zasiłki państwowe i o wywłaszczenie posiadaczy wielkich, jak w Poznańskim.

...Sejm niemiecki uchwalił prawo, na mocy którego koloniści w Poznańskim, nie chcący pracować, będą usuwani ze swoich folwarczków i mieszkań.

...Pozbawieni zapomóg państwowych ostmarkierzy zaczęli mordować urzędników naprzód w Poznańskim, a następnie w całym królestwie pruskim.

...W państwie niemieckim rozpoczęła się wojna domowa z proletariatem, który domaga się protekcji rządu dla siebie i ogólnego wywłaszczenia klas posiadających. Wszędzie słychać mowy publiczne, że jeżeli rząd proteguje taką kanalię, jak ostmarkierzy poznańscy, to tym bardziej winien popierać uczciwych i pracowitych robotników w reszcie państwa.

...Wojna domowa, szczególnie w Prusach, toczy się z wielką zajadłością. Zniszczono prawie wszystkie koleje, mosty, składy zboża i innych towarów; zrujnowano fabryki, powysadzano kopalnie, Niemcy Południowe ogłosiły rzeczpospolitą i wezwały na pomoc Francuzów... Ponieważ w zbrodniach i okrucieństwach najbardziej odznaczali się koloniści z Poznańskiego, zwani ostmarkierami, więc wyjęto ich z pod opieki prawa. Każdy ostmarkier, schwytany poza granicą swojej prowincji, jeżeli nie mógł wytłomaczyć się, skąd i po co przybywa — skazywany był na śmierć bez sądu.

W lustrze czarodziejskim na dłuższą chwilę zrobiło się ciemno. Miler wyprostował się i spojrzawszy na Hindusa, zapytał:

— Więc to tak musi być, czy tylko może być?...

— Twoja interwencja zmieni bieg wypadków —
odpowiedział Ahamkara. — Nie zmieni tylko
zasadniczego prawa.

— Jakież ono?...

— Ci, którzy sieją kąkol, nie zbiorą pszenicy, lecz
kąkol — odpowiedział Hindus. — Ze złego rodzi się
tylko złe...

— A czy mogę zobaczyć przyszłość naszą,
polską?... —zapytał Miler.

— Owszem, patrz...

Miler znowu ustawił cudowne zwierciadełko, które
tym razem przez długi czas było ciemne i nawet nie
odbijało lampek elektrycznych ani ścian gabinetu. Już
odwracał głowę, ażeby zapytać Hindusa, co to znaczy...
gdy ujrzał w polu widzenia jasny punkcik, który szybko
rósł, a niebawem zamienił się w obraz. Był tam rozległy
plac, otoczony gmachami w stylu wystawowym. Na
placu tłoczyła się ciżba ludu i wznosiły się wielkie
maszty, ozdobione chorągwiami w barwach polskich i
angielskich. Na chorągwiach i girlandach były napisy:
„Stulecie odrodzenia Polski 1908—2008”.

Odbył się jakiś pochód z towarzyszeniem śpiewów
i doskonałej orkiestry, wieńczono jakiś pomnik...
Wreszcie na balkonie największego gmachu ukazała się
tuba, skąd wypłynął potężny i wyraźny głos, który
wypowiedział odczyt dla stu tysięcy słuchaczy.

Z odczytu tego, najciekawszego, jaki słyszał
kiedykolwiek, Miler dowiedział się, że uroczystość
odbywa się w mieście Polonii, położonym w Afryce, na

terytorium niegdyś pustym i jałowym, a dziś bardzo bogatym, które Anglia ofiarowała poznańskim wygnańcom, ażeby utworzyli sobie nową ojczyznę, wolną. Od tej chwili między Polakami a Anglikami na całej kuli ziemskiej zawiązało się braterstwo, które Polacy jeszcze umocnili wielką ofiarą pieniędzy i krwi dla Anglii, kiedy zagrożono jej bytowi i wolności.

Rok 1908, w którym wyszło pruskie prawo o wywłaszczeniu, był dla polskiej historii nową erą, ważniejszą od innych. Wtedy Polacy przekonali się, że pomimo sympatii uczciwych narodów nic nie uratuje ich od zagłady, jeżeli sobie nie postawią nowych ideałów i nie zmodyfikują własnego charakteru.

Więc przede wszystkim pomyśleli Polacy, zarówno osiedleni w Afryce, jak i pozostali w Europie, że nie ma co nazywać się przedmurzem chrześcijaństwa; nie ma co wspominać zwycięstwa pod Grunwaldem, odsieczy wiedeńskiej, wąwozów Somosierra; miniona bowiem sława tyle jest warta, co chleb zjedzony w roku zeszłym.

Następnie Polacy oduczyli się wykrzykiwać na cały głos, co to oni mają zamiar zrobić i co to oni kiedyś zrobią — przekonali się bowiem, że to nikogo nie trwoży, ich samych zaś ośmiesza i przynosi szkody realne.

Następnie Polacy zrozumieli, że wobec ciągłego przyrostu ludności i coraz trudniejszych warunków bytu, te tylko rody i narody utrzymają się na ziemi, które będą umiały pracować jak najużyteczniej dla cywilizacji i potrafią doskonalić się fizycznie i moralnie

bez granic. Naród, który z każdym rokiem nie będzie wytwarzał coraz więcej nowych bogactw i dzieł na pożytek ludzkości albo który z każdym rokiem nie będzie nabywał nowej wiedzy i nowych zalet cielesnych i duchowych — taki naród zginie bez ratunku.

Zrozumiawszy te stare prawdy, Polacy cicho, lecz z wielkim uporem wzięli się do roboty nad samymi sobą, pod hasłem: „Praca energiczna, Wiedza twórcza i Cnota”, a wyniki ich wysiłków przeszły oczekiwania.

Już w połowie dwudziestego wieku Polacy zdobyli opinię najdzielniejszych pracowników.

Przerobić pustynię na urodzajne pola i ogrody, wytworzyć nowe odmiany roślin czy zwierząt użytecznych, odkryć kopalnię, gdzie jej nie podejrzewano, zrobić nowy materiał, mający zastosowanie w przemyśle, wymyślić nowy sposób techniczny albo nowy mechanizm, wszystko to były drobiazgi dla tych ludzi pracowitych, ukształconych i twórczych.

Ich talenty kombinacyjne były tak wielkie, że do kierowania fabryk i przedsiębiorstw handlowych najchętniej wybierano Polaków. Im bez kwitu powierzano największe majątki, ponieważ słynęli z rzetelności. Oni, z powodu niezrównanej odwagi i zimnej krwi, bywali dowódcami i robotnikami statków podwodnych, machin latających, fabryk trucizn i niebezpiecznych materiałów wybuchowych.

W ciągu jednego wieku Polacy wydali spośród siebie kilku poetów, których geniusz porównywano z dantejskim i szekspirowskim, wynalazcę najlepszej

machiny latającej, odkrywcę metalu tak użytecznego i taniego jak żelazo, wynalazcę nowego sposobu ogrzewania. Ich lekarze obmyślili metody leczenia gruźlicy i raka. Jeden Polak był naczelnym wodzem armii francuskiej i wygrawszy niebezpieczną wojnę, cofnął się do życia prywatnego jak Waszyngton. Innego wybrano na papieża, który zaprowadził głębokie reformy w katolicyzmie.

Polacy, ale tylko ci, którzy należeli do związku: Praca, Wiedza i Cnota, tworzyli bardzo liczne, rozmaite i ściśle stowarzyszenia. Dzięki temu każdy zdrowy miał u nich pracę, każdy potrzebujący opiekę, każde dziecko naukę i dobre wychowanie, a każdy utalentowany młodzieniec środki do kształcenia się jak najwyżej. Gdy Polak dopuścił się przestępstwa, sądzono go i wyłączano ze związku, co najczęściej prowadziło do samobójstwa.

Najważniejsza jednak reforma społeczna polegała na tym, że dzieci wolno było mieć tylko małżeństwom zdrowym i zdolnym. Skutkiem tego ludność polska wzrastała bardzo powoli, ale rasa odznaczała się niezwykleymi zaletami.

Pomimo nagromadzonych bogactw we wszystkich częściach świata Polacy odznaczyli się skromnością obyczajów. Żywili się dostatecznie, ale tanio, ubierali się po prostu, choć gustownie, mieszkali bez zbytków, choć wygodnie. Klejnotów nie używali, a największą ozdobą kobiet polskich była ich piękność i artyzm życiowy.

W stosunku do narodów obcych Polacy zachowywali się życzliwie lecz ostrożnie; takich tylko ludzi przypuszczano do bliższej znajomości, którzy praktykowali polską zasadę: „Praca-Mądrość-Cnota”. Żadnemu zaś Polakowi nie przyszłoby do głowy narzucać komukolwiek swego języka albo cywilizacji. Zbyt dużo mieli na to poczucia godności osobistej i narodowej.

W Afryce, dla sąsiednich plemion murzyńskich, Polacy byli dostawcami, a bardzo często nauczycielami i kierownikami tych ludów, lecz tylko wówczas, gdy ich o to usilnie proszono. Byli za ucziwi, aby narzucać swoją władzę albo wyzyskiwać pracę. Ich wreszcie ambicją było robić samym wszystko, co potrzeba; rozumieli bowiem, że tylko praca potężna i jak najrozmaitsza, praca własnoręczna a inteligentna, czyni człowieka zdrowym, silnym, zdolnym i szlachetnym. Toteż między Polakami nie było próżniaków, a powiedzenie komuś, że mógłby pracować mniej, uważało się za zniewagę.

Gdy ostatni obraz zniknął w czarodziejskim zwierciadle, wzruszony, rozgorączkowany Władysław Miler zwrócił się do Hindusa:

— Więc taka będzie przyszłość Polski?

— Nie taka, bo ty ją zmienisz...

— A cóżby się stało, gdybym ja zniszczył Niemców?...

— To, co się stać musi — odpowiedział Ahamkara.

— Kto sieje kąkol, zbierze kąkol.

— Więc gdybym ja się zemścił, rodaków moich spotkałoby to, co owych ostmarkierów?...

— Kto posiał kąkol, nie może zebrać pszenicy.

— W takim razie zrywam naszą umowę!... — zawołał Miler.

— To zginiesz.

Miler schwycił się za głowę.

— Nie mogę zgubić mego narodu — wyszeptał po chwili zadyszany głosem. — Zrywam umowę...

— Więc giń! — zawołał Hindus, dotykając palcem jego czoła.

Miler nagle ocknął się. W gabinecie nie było nikogo; gabinet zaś był ten, w którym rozmawiał z Czerskim i Goldbergiem. Na stoliku stała szklanka niewypitej lemoniady, na podłodze leżał numer „Matina”.

Miler wyrzął na salę, a w tej chwili przybiegł służący biało odziany.

— Czy ten pan wyszedł?...

— Przed kwadransiem wyszli stąd dwaj panowie.

— Ale Ahamkara?... — pytał Miler.

Służący pokręcił głową.

— No, ten pan z sąsiedniego gabinetu, którego bilet przynieśliście mi?...

— W sąsiednim gabinecie nie było nikogo — odpowiedział służący. — Ja żadnego biletu nie przynosiłem tutaj...

Miler już powrócił z Paryża i nie wie po dziś dzień, czy rozmawiał, czy nie rozmawiał z indyjskim

czarnoksiężnikiem. Ale jego pogląd na użyteczność zemsty uległ gruntownej zmianie, gdyż zaczął rozumieć, ile tajemniczej wagi mieści się w słowach: „Mnie zostaw zemstę — mówi Pan...”

Bolesław Prus
Zemsta

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-273-9

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl